

Jak to nie chciałem, ale musiałem zabrać się do roboty

To niesamowite, co może zrobić człowiek zdesperowany. Moja resocjalizacja jako dziennikarza przebiegała obiecująco – po tym jak straciłem pracę w "Gazecie" i nie znalazłem nowej, odstawiłem wszelkie używki. Nie, wbrew temu, co wszyscy mówili, nie wyrzucono mnie za alkoholizm i prochy, lecz za niesubordynację, całkowicie świadomą. Stan pomroczości nie był powodem, dla którego powiedziałem redaktorowi naczelnemu, że jest zwykłą świnią i kanalią. To samo mógłbym mu powtórzyć na trzeźwo, gdyby nie fakt, że wówczas rozsądek nakazywał mi trzymać język za zębami.

Resztki oszczędności z trudem wystarczały na jedzenie, a nie było mnie już stać na alkohol. Nikt ze znajomych nie chciał już pożyczać mi pieniędzy, bo zbyt dobrze mnie znali by wierzyć, że kiedykolwiek zwrócę dług nie zaciągając nowego. Miałem nadzieję, że zamkną mnie do więzienia za niepłacenie alimentów, dostałbym darmowy wikt, dach nad głową i opierunek, a środki sponiewierające zawsze by się znalazły pod celą. Ale na to też nie było nadziei. Trzy byłe żony świetnie sobie radziły i zaczęły od nasłania komornika, który zlicytował mój samochód, komputer, laptop, telewizor... zostawił tylko książki, nikomu niepotrzebna biblioteka... Dilerzy zamknęli mi kredyt dopóki nie znajdę pracy, czym bardzo mnie upokorzyli. Przecież nie byłem im winien tak znowu wiele... nikt nawet mnie nie straszył śmiercią ani poturbowaniem... Poczuję się taki mały, zlekceważony...

Wtedy postanowiłem, że jednak poszukam nowej pracy. Niedzielne obiady u dozorczyńni nie odżywiały na cały tydzień, a poza tym, zaczynałem już tęsknić za alkoholem i spacerami po białych ścieżkach do raję bram...

Nie pójdę przecież do rodziców, za żadne skarby nie ugiąłbym karku, nie ukorzył się i nie przyznał, że byłem dupkiem, niepoważnym gówniarzem, który spieprzył wszystko, co w życiu ważne i będąc facetem u progu czterdziestki nie osiągnął w życiu kompletnie nic. Nie, żebym się z tym nie zgadzał, tylko że gdybym już to przyznał, zaczęłoby ode mnie wymagać (i egzekwować!) żebym zmienił swoje zachowanie. A to było nierealne i dobrze o tym wiedziałem. Nie mogłem, nie potrafiłem i nie chciałem się zmienić. Wolałem zmieniać świat niż siebie.

Użyłem całego swojego wdzięku, znaczy osiągnąłem orgazm, by wpłynąć na pewną Wiołę, córeczkę właściciela kilku tytułów brukowych. Nawet bym nie zapamiętał o które tytuły chodzi, ale liczy się to, że wskutek tej gimnastyki z chudą Wioletką jej tatuś skinął tłustym paluszkim również w mojej sprawie. Redaktor najbardziej poczytnej gazety w kraju, takiej, której na trzeźwo nie wziąłbym do ręki nawet w toalecie (papier śliski, chyba woskowany, więc pismo do niczego się nie nadaje), obiecał, że zatrudni mnie na okres próbny. Tak się w tym kraju zdobywa pracę: przez łóżko, ustawionych znajomych i dzianych tatusiów. Bez tego możesz być czterokrotnym doktorem i geniuszem na miarę Einsteina, a i tak będziesz rozdawać ulotki na ulicy, bo wszędzie twoje kwalifikacje będą albo za małe, albo za duże. A do rozdawania ulotek każde wykształcenie jest w sam raz. No chyba, że masz jak ja trzęsące się łapy i ulotki wypadają ci z rąk... Redaktor brukowca obiecał mi wszakże etat, ale warunkiem było, żebym wysmażył mu elokwentny wywiad-rzekę z Lechem Wałęsą, taki żeby publikować w odcinkach przez trzy-cztery numery. Elokwentny? Przeciętny czytelnik tego brukowca nigdy w życiu nie pozna znaczenia tego słowa... Nie szkodzi, może to nawet lepiej, nie muszę się obawiać, że mój rozmówca kiedykolwiek użyje tego terminu.

– Weźniesz, słuchaj, tę książkę Wałęsowej, Danuty zresztą, co ją napisała, i wysmażysz mi tu wywiad jak ta lala – powiedział cmokając, jakby chciał wyssać resztki brunchu spomiędzy krzywych zębów. – Tytuł książki damy... – tu zajrzał do brudnej kartki... – tytuł – szepnął... – Nie chcem ale muszem, Danuto... wywiad którego nie było.

"Taka fisza, a nie zainwestował w aparat – pomyślałem – sam wymyślił taki tytuł? To niemożliwe – kontynuowałem własną myśl...

Przecież wszyscy celebryci noszą teraz aparaty na zębach i grube szkła okularów na nosie, nawet jeśli nie są ślepi ani szczerbaci..."

Zastanawiałem się, jakiego kaszalota musiał obsłużyć, że dochrapał się stanowiska naczelnego... Z takim wyglądem i manierami, a raczej ich brakiem, to musiał być naprawdę paskudny babol... opcja homo nie wchodziła w grę – ciepli chłopcy są znacznie bardziej wymagający, żaden nie chciałby na takiego nawet spojrzeć.

Właśnie przyglądałem się, jak palec redaktora naczelnego zniknął aż do drugiego przegubu w przepastnym otworze nosowym tegoż, po czym wyciągnąwszy urobek rozmazał go na oparciu fotela.

Nie, to niemożliwe, taki jak on musiał się dostać na stanowisko tylko przez więzy rodzinne, nie ma na świecie kobiety, baby, nawet babochłopa, gotowego na jakiegokolwiek ustępstwa, by mieć go w łóżku.

Odchrząknął, przełknął i kontynuował tyradę:

– Chłopaki z ochrony to moje szwagry są, siedzą tam na górze, na strychu czy poddaszu i wódki piją, znaczy się pilnują, żeby się nikt nie włamał czy innego rabanu nie narobił. – Podniosłem głowę i spojrzałem na niego. – No tak, a coś ty myślał?! Emerytowany prezydent nie może sobie tak po prostu po ulicy chodzić! Już do śmierci będą za nim goryle chodzić, krok w krok! Tutaj masz numery do Piotrka i do Łukasza, zadzwonisz, powołasz się na mnie, wszystko ci powiedzą: gdzie dokładnie są, jak tam dojechać i kiedy najlepiej się wbijać.

Podał mi wymięty świstek z niewyraźnie naskrobanymi szeregami cyfr.

– Oni będą siedzieli na górze, na poddaszu znaczy się, żeby mieć na wszystko oko, ale nie przeszkadzać...

– Ale... – chciałem się upomnieć, lecz mnie wyprzedził:

– Tutaj masz służbową komórkę...

Czytał w moich myślach. Jeszcze żeby tak laptopik...

– No co się krzywisz, może ci jeszcze laptopa służbowego dać? A może jeszcze limuzynę?!

Niedoczekanie! Aha, i jeszcze jedno, żebyś pamiętał: będzie biling, więc jak przegniesz, będziesz rzygał za prywatne rozmowy – zastrzegł grożąc mi paluszkami jak małemu dziecku.

Zrobiłem pokorną minę, jakbym chciał zakrzyknąć: "Ależ skąd, wasza Wysokość! Gdzieżbym śmiał!"

– Panią Danutę też przepytywać? – zapytałem dla pewności.

– Nieceee – ziewnął. – Chyba, żeby coś ciekawego – zreflektował się. – Ale jak ma powtarzać to, co już w książce za nią napisali, to tego nie pisz. Kiwaj głową, udawaj, że notujesz, ale wyłącz dyktafon i nie dawaj mi tego, bo to było już! Zresztą, na rany koguta, nie jesteśmy przecież pismem dla bab!

– A dla kogo... – wyrwało mi się, lecz zaraz ugryzłem się w język.

Rednacz spojrzał na mnie ostrzegawczo i ponownie pogroził paluszkami. Ups! Druga żółta kartka – pomyślałem.

Skłoniłem się do ziemi, ucałowałem rąbek jego szaty, po czym nie odwracając się tyłem (zgodnie z etykietą dworską), wyszedłem z jego gabinetu. W rzeczywistości bałem się, że mógłby mi strzelić w plecy...